

## **Marek A. Cichocki: Kto delegitymizuje państwo?**

Problemem jest państwo, a raczej brak poczucia, że państwo jest czymś nadzędnym



Tekst ukazał się w Nr 10 (3269), 4 marca 2012 Tygodnika Powszechnego

**Problemem jest państwo, a raczej brak poczucia, że państwo jest czymś nadrzędnym.**

Dwóch znamienitych komentatorów oraz uczestników polskiego życia publicznego, Bartłomiej Sienkiewicz i Marek Zając, poświęcili wiele uwagi środowisku „Teologii Politycznej” w numerze 7/2012 „Tygodnika Powszechnego”. Jak na środowisko, które, jak pisze jeden z autorów, poniosło klapę, oceniam to jako całkiem niezły wynik.

Przyczyną nagłego zainteresowania stała się ostra debata, właściwie starcie, którą na początku roku rozpoczął Dariusz Karłowicz oraz Łukasz Warzecha polemiką z „Gazetą Polską”, braćmi Karnowskimi oraz Zdzisławem Krasnodębskim na temat forsowanych przez nich koncepcji Wolnych Polaków, drugiego obiegu, zaborów Polski etc. Karłowicz i Warzecha argumentowali, że istotą funkcjonowania w przestrzeni publicznej, nawet jeśli nie jest ona chwilowo nazbyt przyjazna, nie jest zamknięcie się w prawicowym getcie, ale podejmowanie starań o wpływ na główny nurt debaty. Ponieważ zwolennicy drugiego obiegu każdą taką próbę traktują jako zdradę, zgnięły kompromis, uznając, że po katastrofie smoleńskiej ludzie, którzy nie afirmują bezkrytycznie polityki Jarosława Kaczyńskiego czy Antoniego Macierewicza są straceni, są niejako innym narodem, z którym nie da się komunikować, nie da się nic razem robić i z którymi Wolnych Polaków dzieli wszystko, polemika ze strony obu panów

wywołała gwałtowne reakcje, z osobistymi połajankami pod ich adresem włącznie. I tą właśnie sprawą postanowił zająć się Bartłomiej Sienkiewicz.

Jak się jednak zdaje, nie robi tego po to, by zastanowić się nad przyczynami oraz skutkami radykalnej negacji własnego państwa przez całkiem sporą część polskiego społeczeństwa, a z takim problemem mamy obecnie do czynienia, ale po to, by się trochę ponatrząsać, ogłosić klęskę pewnego środowiska, a na końcu wygłosić sakramentalną doktrynę o tym, że warunkiem rozmowy jest uznanie własnego państwa jako najwyższego dobra. Przy czym posługuje się tutaj analogią niebywałą, bo Izraela oraz Palestyńczyków, analogią, która dużo mówi o stanie ducha i stanie myśli przedstawicieli „Normalnych Polaków”. Wszystko to sprawia, że – niech mi autor wybaczy, ale zbyt wysoko cenię jego analityczne talenty – jego tekst w warstwie diagnozy jest jednak rozczarowujący i wygląda trochę na wyrównywanie starych porachunków.

Obraz przedstawiony przez Sienkiewicza jest mniej więcej taki: są Normalni Polacy, jest ich większość, codziennie chodzą do pracy, budują zręby naszej cywilizacji dnia codziennego, w niedzielę idą do Aqua Parku lub handlowej galerii, nie mają wątpliwości ani głupich myśli, są zadowoleni i mogą w spokoju konsumować. I nawet do głowy im nie przychodzi, że gdzieś na obrzeżach, w jakichś zarosłych, błotnistych zakamarkach polskiej debaty poukrywani siedzą Wolni Polacy (zapewne zarośnięci, z ryngrafami na kudłatych piersiach i z nożami w zębach) i prowadzą tam ze sobą absurdalne spory. Ten obraz nie jest jednak trafiony. Spór, który Sienkiewicz uczynił tematem swojego tekstu, tylko z pozoru jest jakimś „lokalnym”, niszowym, śmiesznym sporem zamkniętej w sobie prawicy – egzotycznym sporem

żuka z żabą, gdzieś na brzegu zapomnianego stawu, obok którego płynie szeroki wartki nurt zdrowej myśli, debat i czynów „Normalnych Polaków”, gdzie woda czysta i wartka, jest dużo tlenu, a ryby radośnie podskakują nad poziom wody energicznie machając ogonkiem.

Zgoda, problemem jest państwo, a raczej brak poczucia, że państwo jest czymś nadrzędnym. Chcecie jednak zawęzić ten problem tylko do tych, którzy dzisiaj nazywają siebie „Wolnymi Polakami” i chcą budować drugi obieg informacji? Chcecie ich wskazać jako głównych winowajców albo dziwaków? No nie, proszę o trochę rzetelności. Mówimy tutaj o problemie, który stał się powszechną cechą kultury politycznej III RP, w której żyjemy od ponad dwudziestu lat. Natrzęsając się z Wolnych Polaków Sienkiewicz chce nazbyt łatwo strząsnąć z siebie konieczność zmierzenia się z o wiele większym problemem, który jest także jego własnym. Bo problem jest niestety ogólny i dotyczy polskiej polityki w ogóle, a nie tylko „śmiesznych” Wolnych Polaków; jest niestety chorobą polskiej demokracji – bo taką właśnie ułomną sobie zbudowaliśmy. Mówię tutaj o skłonności do delegitymizacji własnego państwa, jako konstytutywnej dla procesu walki o władzę, począwszy od 1989 roku. Dotyczy ona wszystkich stron politycznego sporu, cierpiących na syndrom (jak pisze Karłowicz) demiurga, ale takiego, który nigdy nie może dotrwać do siódmego dnia. Dlatego każdy przegrany uznaje, że Polska, którą nie rządzi, nie jest jego, jak również, że ci, którzy przestali rządzić, powinni zostać raz na zawsze wyeliminowani. Ten delegitymizacyjny mechanizm się napędza, a sprawa katastrofy smoleńskiej nadała mu dodatkowego impetu. Taki też jest sens polemiki „Teologii Politycznej” z Wolnymi Polakami. Ale kto będzie rozmawiał z pozostałymi, którzy na podobny demiurgiczny syndrom cierpią w nie mniejszym wcale stopniu? Z tekstu Sienkiewicza zrozumiałem, że on raczej umywa ręce. Z kolei Marek Zając chce, jak rozumiem, rozmawiać tylko z jedną stroną.

Sienkiewicz stwierdza: „może pora postawić Wolnym Polakom pytanie, jakie postawił swego czasu Izrael Palestyńczykom: czy akceptujecie prawo do istnienia i legalności państwa Izrael? Od odpowiedzi zależy, czy z reprezentantami Wolnych Polaków można dyskutować o przyszłości Polski, jak tego chce redaktor Marek Zając”. Tak, skądinąd to dobry postulat. Gdyby jednak zastosować regułę Sienkiewicza konsekwentnie, nie byłoby za bardzo z kim w Polsce rozmawiać, w każdym razie nie z reprezentantami jakichkolwiek sił politycznych (no może poza obrotowym PSL-em). Wystarczy przypomnieć atmosferę lat 2005-2007. Błękitne marsze po ulicach stolicy, odezwy do obywatelskiego nieposłuszeństwa, kongresy na rzecz obrony polskiej demokracji, wezwania do urzędników, by nie wykonywali poleceń władzy czy odmowy przyjęcia lub zwracanie orderów państwowych (polecam przejrzeć statystykę pod tym względem – naprawdę robi wrażenie). Wówczas przekonanie wielu politycznych środowisk, łącznie z tym obecnie rządzącym, że żyjemy w okupowanym przez ciemne moce kraju, że władza jest nielegalna (czy ktoś jeszcze pamięta pomysł zwołania kontparlamentu na Politechnice Warszawskiej lansowany przez GW?) było, śmiem twierdzić, nie mniej dojmujące, niż jest to obecnie. Wtedy to nie uwierało? Nie było śmieszne? Czy wtedy państwo nie było nadrzędnym dobrem? Czy obecnie rządzący, gdyby utracili władzę, nie weszliby od razu w buty Wolnych Polaków?

Nie wątpię oczywiście, że dekompozycja polskiej prawicy, która jest zjawiskiem ewidentnym, a dotyczy zarówno języka, polityki, jak i sposobu myślenia, może być dla zewnętrznego obserwatora spektaklem dość zabawnym. Nie mam też złudzeń, że w tym rozkładowym sporze na prawicy dzisiaj nie chodzi tylko o wielkie idee, szczerze emocje czy chęć wyjaśnienia np. tragedii smoleńskiej. Niestety chodzi tutaj też o zwykłe interesy. Spór między „Gazetą Polską” a wpolityce.pl jest także

sporem o „smoleński rynek”, który daje tym środowiskom perspektywę dalszej materialnej egzystencji. A ponieważ nie jest on aż tak wielki, konkurencja staje się coraz bardziej zajadła. Dzisiaj prawica wzajemnie zagryza się, przy aplauzie szczerze oddanych jej sekundantów z ulicy Czerskiej. I fakt ten zaliczam do jednych z największych osiągnięć przywództwa Jarosława Kaczyńskiego sprawowanego po prawej stronie w ostatnim czasie. Czy to jest klęska idei przywrócenia zmysłu polityczności na gruncie konserwatywno-chrześcijańskim – nie wiem. Na pewno dynamika, która po Smoleńsku przybrała zawrotnego przyśpieszenia, dynamika radykalnego rozłamu wspólnoty Polaków, sprzyja lewackiej i prawackiej skrajności. A ponieważ wiele wskazuje na to, że to do nich niestety należeć będzie najbliższa przyszłość, człowiek o raczej centrowych, konserwatywnych przekonaniach musi nabrać do rzeczywistości dystansu. Nie wydaje mi się więc, żeby istotą była klęska polityczności na gruncie konserwatywno-chrześcijańskim. Sprawa jest poważniejsza, bowiem drogi Bartku, to Sienkiewicz, Zając oraz Cichocki, jak też wielu innych jako przedstawicieli pewnego pokoleniowego doświadczenia, ponieśli zdaje się klęskę wspólnie, skoro nie udało im się przez dwadzieścia lat sprawić, by państwo polskie stało się dobrem nadrzędnym w polskiej polityce. A dlaczego tak się stało?

Nie żyjemy w ramach określonej koncepcji czy modelu państwa jako nadrzędnego dobra, ale jesteśmy zamknięci w pewnym politycznym pokoleniu. Pokoleniu, które od trzydziestu lat z górą władają Polakami: zarządza ich emocjami, definiuje potrzeby, opisuje świat, dyktuje idee i przy okazji załatwia interesy. W tym sensie nie mamy do czynienia z państwem, instytucjami, prawami, formą, ale z osobistymi lub grupowymi relacjami, sporami, antagonizmami. Mamy w Polsce kulturę polityczną w klasycznym sensie oligarchiczną, a nie demokratyczną czy państwową. Procesy polityczne lepiej rozumie się u nas przez pryzmat walki towarzyskiej, ideowej, ambicjonalnej głównych protagonistów

owego politycznego pokolenia oraz ich klienteli. Państwo nie jest dla nich i nigdy nie było żadnym najwyższym dobrem, ale polem ostatecznej walki (stąd demiurgiczna skłonność delegitymizacji wzajemnej, każdy z nich własne zwycięstwo utożsamia z końcem historii, a bycie w opozycji z antysystemową kontestacją, walką z ciemnymi mocami). Bardzo trafnie moim zdaniem zrozumiał ten fenomen i opisał Robert Krasowski w swojej książce o początkach III RP. Ja sam pisałem o tym w tekście, na który w „Tygodniku” powołał się Marek Zając. Szczerze mówiąc, o tym wolałbym rozmawiać z red. Zającem, (z Sienkiewiczem także), a nie o historycznych analogiach (akurat ten temat wydaje mi się jakoś całkowicie bezowocny). Bowiem polityczne pokolenie, które włada Polakami od trzydziestu lat, a które swoje apogeum przeżywało przy Okrągłym Stole, a potem w zajadłych walkach lat 90., to pokolenie dzisiaj dobiega swojego naturalnego kresu. Ostatni z niego są dzisiaj głównymi *dramatis personae* polskiej polityki (Jarosław Kaczyński i Donald Tusk) i wkrótce także oni zejną z politycznej sceny. I co wtedy?

Skutek trzydziestoletnich rządów jednego politycznego pokolenia jest taki, że całe pokolenia następne, które wchodziły w polską przestrzeń publiczną na fali 1989 roku, zostały przez politykę „wyplute”. Dotyczy to nas wszystkich, drodzy panowie, także Bartłomieja Sienkiewicza i Marka Zająca. Skutkiem tego dzisiaj polska polityka składa się z całej masy „starych wyjadaczy” – klientów demiurgów oraz biegających nerwowo wokół nich młodych asystentów. Ta eliminacja całego pokolenia oraz nieukonstytuowanie się państwa jako najwyższego dobra są zjawiskami moim zdaniem komplementarnymi. Jedno wynika z drugiego. Co więcej, w czasach trudnych, w czasach katastrofy smoleńskiej, ale także w czasach wyraźnego rozchwiania się starego zachodniego porządku, tego rozumienia państwa jako najwyższego

dobrze zaczyna nam coraz bardziej, by nie rzecz, coraz rozpaczliwiej brakować. Bo w Polsce nie ma żadnego państwa „Izraela”, są sami „Palestyńczycy”.

*Marek A. Cichoński*